

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 1

WARSZAWA, 2 WRZEŚNIA 1935 ROKU



W SPALE



IDĄ SZEREGI HARCERSKIE



„Czuwaj” ich hasło! „Czuwaj” ich zew!
Czy znasz zastępy drużyn młodzieńczych,
ponad któremi radośnie dźwięczy
temi słowami zbiorowy śpiew?

Marsz wyrównany! Sprężysty krok!
Przechodzą liczne hufców oddziały.
Wieżą proporce w barwach wspaniałych.
Pierzcha przed nimi ciemność i mrok.

Tu szyki chłopców. Tam dziewcząt rój.
W oczach odbłaski dumy i męstwa.
„Czuwaj” ich hasło, co do zwycięstwa
ich poprowadzi przez życia bój.

Słońca nad nimi złocisty krąg.
Idą i idą! Tysięczne rzesze!
Kto ich podziwia, niechaj pośpieszy
do dzieł ich pracy przyłożyć rąk!

„Czuwaj” ich hasło! „Czuwaj” ich zew!
Smutek i troski są im nieznane.
Braterska przyjaźń, miłość siostrzana
rozświetla tęczę ich mocny śpiew!

Marsz wyrównany! Sprężysty krok!
Przechodzą liczne hufców oddziały.
Wieżą proporce w barwach wspaniałych.
Pierzcha przed nimi ciemność i mrok.

Antoni Madej

W S P A Ł E

Chyba od grudnia nie mówiło się
w domu o niczym innym, tylko o Zlocie.
Aż mama zatykała sobie uszy rękami.
— A dajcież mi już spokój! Poje-
dziecie, pojedziecie, przecież już wam
mówiłam!

Ale oboje — Staszek i Janka — nie-
ustannie drżeli, że może się wydarzyć
coś, co popsuje im plany. Rachowali
miesiące — potem tygodnie, potem już
dni. Termin się zbliżał. I nie wyda-
rzyło się nic — ani żadne nie zachoro-
wało, ani nie było trzęsienia ziemi, ani
powodzi. Jechali do Spały oboje, oboje
byli przecież w organizacji harcerskiej.
Jechali z biciem serca, z roześmianymi
oczyma, rozradowani, jak nigdy jeszcze.

Przygody zaczęły się już w pociągu.
Nie był to przedewszystkiem zwyczajny
pociąg — ten pociąg bezustannie śpie-
wał i odzywał się okrzykami. A natło-
czony był, aż strach. Gdzie spojrzeć —
w przedziałach, w korytarzach szare

mundury chłopców i dziewcząt. Tu
ktoś zgubił swoją drużynę, ktoś nie wie,
gdzie mu się podział plecak, ktoś przy-
cupnął w kątku i zawzięcie powtarza
sobie правила tej gry, którą na zlocie
ma się popisywać jego drużyna. Różni
tu są — małe zuchy, co ledwo od ziemi
odrosły, dziewczęta i chłopcy już starsi
i wreszcie starsi harcerze i harcerki, cał-
kiem dorośli, co nawet swoje dzieci wio-
zą na Zlot. Gwarno, bo choć nie wszys-
cy się znają, ale to przecież jedna wiel-
ka rodzina harcerska — wszyscy są so-
bie bliscy.

Pociąg dudni po szynach. Trzeba
przesiadać — zamieszanie robi się jesz-
cze większe. Ale grunt to, że jest we-
soło.

A ot i Spała. Zaraz można poznać,
że tu odbywa się Zlot. Wszędzie pełno
szarych mundurów. Wszędzie rozlega
się okrzyk: — Czuwaj!

Poszczególne drużyny maszerują



PAN PREZYDENT UDAJE SIĘ NA OTWARCIE ZLOTU

z dworca do obozu. Drogi zgubić nie można — wszędzie znaki, wskazujące, którędy trzeba iść. Teraz Staszek i Jan-ka muszą się rozłączyć — Staszek zostaje po tej stronie Pilicy, obóz harcerek leży po drugiej. Między obozami mosty, wybudowane sprawnymi rękami harcerek.

Widać, że ci, co przygotowywali tereny zlotowe, nie próżnowali. Szeregami wznoszą się szałas, i to niebyłajakie — z gałęzi, z trzciny, prawdziwe wigwamy ludów pierwotnych. Bielią się płótna namiotów, mienią kolorami godła drużyn. Kiedy chcesz pić — możesz sobie naczepać wody ze studzienki, wykopanej rękami harcerek. Kiedy chcesz wysłać list — idziesz do urzędu pocztowego, gdzie sprawują służbę harcerek. Możesz zatelefonować, korzystać ze światła elektrycznego — a wszystko to dzięki sprawnym i pilnym dłoniom harcerek, którzy tu od dłuższego już czasu trudzili się, by móc godnie przyjąć swoich i obcych — nie, obcych tu niema — wszystkich łączy wielkie braterstwo, choć odróżnia język i strój.

Staszek wpada odrazu w wir obozowy. Wszystko wre ostatniemi przygoto-

waniami. Jutro przecież Pan Prezydent otwiera Zlot.

Wieczorkiem Staszek biegnie ku mostowi na Pilicy.

— Gdzież to? — zatrzymuje go sroga warta w szarej spódniczce.

— Do siostry chciałem, druhnno.



HARCERZE CZESKY





HARCERKI Z KANADY

— Nie można, niema czasu na sprawy rodzinne. Jesteśmy wszystkie zajęte — surowo mówi mała druhna i Staszek jak niepyszny zawraca spowrotem. Ale istotnie niema czasu na „sprawy rodzinne” — kończy się budowę szałasów,

gorączkowo przygotowuje wystawy, jakimi poszczególne drużyny chcą się popisać. Każdy dźwiga na swoich barkach jakiś obowiązek — a nad wszystkimi ciąży zbiorowa odpowiedzialność za porządek i sprawność wszystkiego, co się dzie-



HARCERZE POLSCY Z ESTONJI



HARCERZE WĘGIERSCY

je na wielkim terenie Zlotu. Zajęci są policjanci-harcerze, pilnujący prawidłowości ruchu, straż pożarna powtarza swoje ćwiczenia, dziewczęta uwijają się przy kuchni, sanitariusze sprawdzają zawartość apteczek. Równocześnie zaczyna się masowy zjazd gości z całej Pol-

ski, którzy chcą zobaczyć, jak sobie radzi młodzież. Trzeba się tymi gośćmi zająć, oprowadzić ich, pokazać, zająć się o ich potrzeby.

A na drugi dzień jest uroczyste otwarcie Zlotu. Zgóry spogląda Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Najdostoj-



HARCERKI Z WILNA

niejszy Gość spalskiego Złotu. Trzydzieści tysięcy harcerzy i harcerzek defiluje przed Głową Państwa. Są to harcerze z Polski, i młodzież polska z poza granic kraju, i harcerze cudzoziemscy. Staszek maszeruje równym krokiem, wyprężony jak struna — patrzą przecież na niego oczy Pana Prezydenta i oczy kilkudziesięciu tysięcy gości, którzy zajęli miejsca na trybunach. Patrzy wprost przed siebie — żeby iść równo i pewnie. Rozlegają się oklaski. To pod trybuny doszło już czoło defilady — uczestnicy



Złotu Młodzieży Polskiej z Zagranicy, którzy dziś są gośćmi harcerzy. Potem idą harcerki duńskie, wysokie, jasnowłose dziewczęta, idą harcerki czechosłowackie, uśmiechnięte, rozradowane. Każdą reprezentację witają z trybun okrzyki. Staszek patrzy przed siebie — teraz defilują przed trybunami harcerki polskie — z Warszawy, Wilna, Krakowa, ze wszystkich stron Polski. Tam jest i Janka — jej w tej chwili serce napewno równie mocno bije, jak jemu.

Grzmot oklasków na trybunach — to idą Węgrzy. — Eljen! — wołają ku widzom, a widzowie odpowiadają im okrzykiem: — Czuwaj! — Sztandarki łopocą na wietrze. Dudni ziemia pod sprawnymi krokami.

— Pada coraz gorzej — słyszy nagle Staszek szept w szeregu. W tej chwili dopiero spostrzega, że istotnie pada deszcz, drobny, dokuczliwy. Przedtem tego nie zauważył. Gdzie tu myśleć o deszczu, kiedy raduje się serce, kiedy duma przenika, że tyłu ich jest, wszyscy pod jednym znakiem harcerskiej lilijki — że patrzą na nich dobrotliwe oczy

Pana Prezydenta — że pokazują tym wszystkim zebranym tutaj rosnącą potęgę Polski — rosnącą młodzież.

Brzmia orkiestry. Przesuwają się sztandary. Maszerują Węgrzy, Rumuni, młodzież z całej Europy — ba, nawet zza oceanu, ze Stanów Zjednoczonych.

Uśmiechają się twarze z trybun — wesoło, przyjaźnie, do tej dziarskiej młodzieży. Nić braterstwa zadzierzga się między dwoma wielkimi zbiorowiskami — tymi, którzy patrzą z trybun, a tymi, co maszerują w defiladzie.

Deszczyk siąpi — i razem z nim pada na defilujących nieustanna lawina oklasków. Oto idą biali harcerze-żeglarze, oddziały łączności z tarczami, wspólnie prezentujący się Pomorzanie. Nieprzerwanym marszem idą wszyscy wśród oklasków, dźwięków marsza, którym grzmi węgierska orkiestra. Połyskują malinowe koszulki Meksykanek, ogólną uwagę zwraca kilku idących w pochodzie Hindusów. Mieniają się barwy, krzyżują okrzyki.

Skończona defilada. Teraz szara brać

harcerska wyrusza do obozu. Staszek jedzie do dzielnicy handlowej. Tu, przy kiosku z lodami spotyka się z Janką.

— Lody na takie zimno — dziwi się ktoś z gości, patrząc, jak przy kiosku tłoczą się szare mundurki. Ale to przecie wszystko jedno — zimno czy ciepło — lody zawsze są lodami.

Janka znów znika Stachowi z oczu. Zaczyna się przecie teraz normalne życie obozowe. Każda Chorągiew wypełnia w ramach Zlotu swój program — a więc są tacy, którzy pracują w zakresie ochrony przyrody — inni zajmują się służbą sanitarno-ratowniczą, krajoznawstwem, służbą pocztową, kwaterymistrzowską dla Zlotu, zdobnictwem i troską o estetykę Zlotu, sportem.

Jest tysiące zadań i tysiące obowiązków, które trzeba wypełnić. Przygotowują się przecie harcerze do służby Ojczyźnie, służby społeczeństwu. A społeczeństwo nie potrzebuje niedołęgów. Więc harcerz ćwiczy się we wszelakich umiejętnościach, które zawsze przydadzą się w życiu i jemu samemu i innym.

Więc to nic, że popieką się palce przy gotowaniu, że porobią się na rękach pęcherze od siekierki czy młotka, że zabolą nogi od ciągłej krętaniny — grunt to, że wszystko idzie tak dobrze i sprawnie.

Wieczorem płoną ogniska obozowe — płynię w ciemne niebo pieśń. Padają



TRUDNA PRZEPRAWA



POŻEGNANIE

w serca słowa harcerskich gawęd, poją się dusze melodją. To nic, że pieśni brzmią we wszystkich językach, że nie zawsze rozumie się słowa — ich ducha, ducha braterstwa, pracy i służby Ojczyźnie rozumie się przecie bez słów.

Jak sen mijają dni. Staszek zawiera przyjaźń na śmierć i życie z małym harcerzem z Kanady. To nic, że mu się trudno z nim porozumieć — pomagają sobie wzajemnie przy pracy pionierskiej, przy trudnej przeprawie przez bagna i nawpół na migi obiecują sobie, że będą do siebie pisywać. Ktoś zawsze się znajdzie, kto przetłumaczy list.

Nie dopisuje Zlotowi pogoda. Ale to nic — słońcem promienieją przecie wszystkie twarze i wszystkie serca.

Nadchodzi dzień odjazdu. Staszek i Janka żegnają się ze wszystkimi.

— Nie zapominajcie o nas — rozlegają się okrzyki.

I każdy, kto stąd odjeżdża, wie na pewno — że nie zapomni nigdy w życiu.

Aleksandra Walczyńska

O P I L I C Y

Zielona Pilica
poprzez lasy bieży.
Rozbrzmiewają pośród sosen
piosenki harcerzy.

Słysząc i siekiere
niby stuk dzięcioła.
A od słupów w dno wbijanych
drzą na wodzie koła.

Przytupują młotki,
jak w oberku chłopak.
Woda brzegi rozdzieliła —
teraz jest naopak.

Teraz dzwonią piły
cieniuśko, jak wilga.
Za godzinę, może za dwie
stanie mostów kilka.



Stanie kilka mostów,
kładek jak się patrzy.
Pobudują je harcerze
za godzinę — za trzy.

Na zielonej rzece
będzie, jak w piosence:
z obu brzegów wyciągniemy
przyjacielskie ręce.

N O C N A W A R T A

Teoś nie mógł zasnąć. W namiocie było gorąco, nawet trochę duszno, a zewnątrz dochodziły różnorodne głosy obozowego życia.

Przed sąsiednim namiotem, przy ognisku, siedziała gromadka starszyny harcerskiej, gawędząc o kłopotach, związanych z nowymi gośćmi. Było tych gości 500. Węgrzy, chłopcy na schwał. A każdy w kapeluszu z pękiem białej trawy, która powiewała, jak pióra.

Przewraca się Teoś z boku na bok, ale ani rusz zasnąć nie może.

Bo, po pierwsze, cały dzień chodził po Spale i tyle się różności napatrzył, że aż w oczach ćmiło, a po drugie — niespokojny był o wartę.

Miał wartować w najgorszym czasie, w środku nocy. Nie o zmierzchu, nie o świcie, ale w środku nocy. I chodziło o to, żeby taką ważną wartę w obozie drużyny należycie odbyć.

Szturchnął śpiącego obok Cześka.

— Śpisz?

— Już trochę drzemałem.

— A ja zasnąć nie mogę.

— No to co?

— To nic — obraził się Teoś. Zlaził z tapczanu i uchylił płótno namiotu, aby lepiej widzieć ognisko starszyny. Drużynowy jego drużyny, wsparty o kij, stał nad ogniskiem, reszta siedziała. Ale już nie rozmawiali.

Teoś dał nura pod koc i przyłożył głowę do poduszki. Sosny szumiały i to go może ukołysało. Zamknął oczy.

Ale za ledwie zaczął pogrążyć się w sen, ledwo zdążyła mu się przywidzieć mama z koszykiem pełnym jabłek, kiedy ktoś go poruszył za ramię:

— Teoś, śpisz?

— Śpię.

— To śpij, ja cię nie budzę — szepcze Czesiek i dusi się ze śmiechu.

— Ach, co za dowcip! Dwie godziny nad nim myślałeś?

A Czesiek obrócił się na drugi bok. I już chrapie. Poleżał Teoś, poleżał, spojrział na zegarek świecący w półmroku. Do zmiany warty jeszcze pół godziny. Teraz, choć mu się spać chciało, musiał walczyć z sennością. Niedługo drużynowy przyjdzie go zbudzić. Niedobrze będzie, jeśli go zastanie rozespanego.

Jakoż punktualnie o północy cień zasłonił wejście do namiotu. Drużynowy podszedł do tapczanu Teosia i szepnął:

— Już czas.

Zerwał się nasz chłopak, ubrał się szybko i sprawnie. Wyszedł przed namiot. Ciemno było. Wierzchołki wysokopiennych sosen ledwo można było odróżnić na tle chmurnego nieba. Ognisko dawno zgasło. Cisza leżała dokoła.

Teoś chodził po polance, przystawał, myślał o domu, o tem, że wkrótce zobaczy na otwarciu Złotu Spalskiego samego Pana Prezydenta. Pomyślał też przez



chwile o Czešku, który był dobrym i wesołym, choć czasem trochę dokuczliwym kolegą. I o drużynowym. Tego nazywano w obozie „Nasz”. Bardzo sprawiedliwy jest ten „Nasz”.

Uważa Teoś i дума o różnych sprawach. A tu zaczyna mżyć drobny deszcz.

I głosy słyszą. Harcerze idą. Łatwo to poznać po brzęku menażek, kubków i nożyków. Rozmawiają przyciszonym głosem.

— To tu gdzieś.

— Tak, to na lewo od drogi. Będziecie mieli miejsce obok tej drużyny. Czuwaj!

— Dziękujemy druhu, czuwaj!

Gromadka nowoprzybyłych weszła między sosny. Cicho, jak duchy, aby nikogo nie budzić, wzięli się do rozstawiania namiotów. Szeptali:

— Gdzie kołki?

— Podajcie siekierkę.

— A sznur naprężyć dobrze!

Kiedy Teoś patrzył, jak się w ciemności krzątali, czas mu prędej płynął. Warta nie wydawała się taka nużąca. Słyszał, że kończąc robotę zatroszczyli się o jakiegoś Barnabę, że niezdrowy.

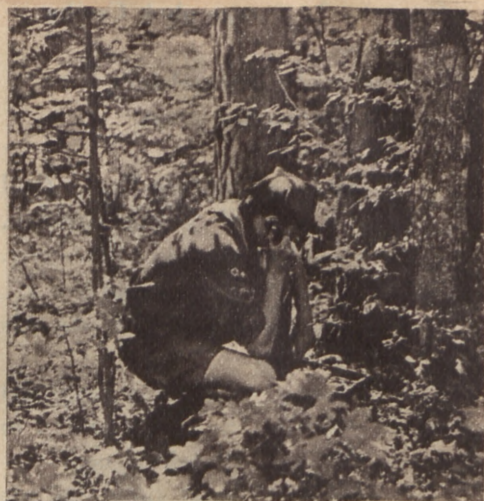
— Śmieszne imię — pomyślał Teoś.

Wreszcie wszystko ucichło, tylko deszcz drobniutki szemrał po listkach krzaków. I sosny szumiały ogromnymi koronami. Chłopcu zrobiło się jakoś niewyraźnie na duszy. Wszyscy śpią, a on sam czuwa w ciemnym borze. Mrok między drzewami wydał mu się groźny.

— Teoś, trzymaj fason — szepnął sam do siebie.

Zauważył w ciemności jakieś postacie. Dwaj harcerze rozwijali na trawie drut. Byli to telefoniści.

— Aha — mruknął jeden z nich, zauważywszy Teosia — warta...



— Dlaczego wy się po nocy tłuczecie? — zapytał Teoś.

— Linję telefoniczną musimy tędy przeprowadzić, nim się rozwidni.

Niewiele się dowiedział z tego objaśnienia.

Telefoniści gdzieś przepadli w mroczkach nocy. Głucha cisza zaległa wkoło. Nawet deszcz przycichł. Na paproci obok nóg Teosia połyskiwały krople. A w górze — chmury i chmury. Chłopiec próbuje policzyć te, które między zrosniętymi sosnami tuż nad nim przechodzą:

— Jedna, dwie, trzy, cztery...

Naraz ciszę leśną przerywa potworny głos, od którego serce zamiera w piersi Teosia.

— Iiuu... yyaa... yyaa... — ryczy coś wpobliżu.

A ten głos jest taki, jakby razem ktoś po szkle skrobał i starami drzwiami skrzypiał. Chłopiec nie wie co robić. Ryk dochodzi spośród namiotów, które dopiero co rozbiła nowoprzybyła drużyna. Więc pewno tam dostał się z głębi spalskich borów jakiś straszliwy zwierzę. A oni śpią i nie słyszą!

Znowu zagrzmiało wśród sošen:

— Iiuu... yya... yuu...

Teoś skoczył ku tamtym namiotom.

— Warta! Warta! — zakrzyczał.

— Czego się druh wydziera — odezwał się wartownik, wychodząc z gąszczu.

— Bo tu coś ryczy... i myślałem, że niema warty... więc, no, właśnie...

— A właśnie, właśnie — przedrzeźniał go tamten — cóżby to był za obóz bez warty. A te krzyki, to Barnaba. Coś mu się pewno przysniło.

Teoś już nie pytał co to za Barnaba.

Rankiem, skoro tylko wypadł z namiotu, ujrzał coś, co go zafrasowało nieco. Wśród tych „nowych” namiotów siedział pod drzewem wczorajszy sąsiad-wartownik i zajadał śniadanie. Naprze-



ciw niego stał mały, szary osiołek, nakryty kocem. Także jadł. A dwaj mały, harcerzyki takie, jak Tomcio Paluszek, pytali z przejęciem:

— No, co, Barnaba, smakuje ci sianko?

Henryk Zastawski

CZUWAJ!

DEKLAMACJA POJEDYŃCZA ALBO CHÓRALNA

Czy wiatr, czy śnieg,
czy deszcz, czy mgła,
harcerzu śpiesz,
pobudka gra.

Chór: Czuwaaaaj!

Nie straszny grzmot,
wichura zła,
harcerzu, czuj!
Pobudka gra.

Chór: Czuwaaaaj!

Gdy zagrzmiał wkrąg
wojenny huk,
wytężył wzrok,
wytężył słuch.

Chór: Czuwaaaaj!

Na szańce szedł,
jak przednia straż,
wstań orle, leć!
Pobudka gra.

Chór: Czuwaaaaj!

Gdzie krzywda, zło
wyciąga dłoń,
harcerzu śpiesz,
harcerzu broń.

Chór: Czuwaaaaj!

Spokojna bądź
Ojczyzno ma,
harcerska wciąż
pobudka gra.

Chór: Czuwaaaaj!

Wanda Malicka



Kuchnia pod dachem, daszek dziurawy,
pełno radości, pełno zabawy.

Pracują druhny, cieszą się druhny
nad pustym garnkiem na zimnej kuchni.



Mrówka ugryzła harcerza-druha!
Więc jeden chucha, a drugi dmucha,

ten dąje bandaż, ten opatrunek —
ciężki wypadek, ciężki ratunek!

Z DZIEJÓW HARCERSTWA

Wiadomo powszechnie, że kiedy chłopiec angielski mówi tajemnicze słówko: Bi-Pi, to ma na myśli nie kogo innego, tylko generała Baden-Powell'a. Ten generał w roku 1909 zorganizował pierwsze na świecie drużyny skautowe. Oczywiście — w Anglii.

W Polsce szybko zrozumieli ludzie, że ta organizacja znakomicie nadaje się do wychowywania młodzieży. I już w r. 1911, we Lwowie, Andrzej Małkowski i d-r Kazimierz Wyrzykowski utworzyli pierwsze drużyny polskie. A chociaż prawa polskich skautów były wzorowane na prawach angielskich, musiały być trochę odmienne. Bo Anglicy tworzyli organizację u siebie, w wolnym Państwie, a my, Polacy, przed wielką wojną byliśmy pod władzą trzech zaborców.

I praca tych przedwojennych harcerzy inaczej wyglądała, niż dzisiaj. Teraz, w wolnej Polsce, sam Pan Prezydent zaprosił zlot harcerski do siebie, do Spały. Wtedy obce władze utrudniały im co mogły. Dość powiedzieć, że nie wolno im było zbierać się w mieście, nie wolno było oddziałami maszerować przez miasto, ani też defilować.

Dobrze jeszcze, że dozwolono im zbierać się na zamiejskich wzgórzach i po lasach.

A najgorzej było w zaborze rosyjskim. Tu ruch skautowy musiał być tajny, bo Rosjanie wietrzyli w nim niebezpieczeństwo. I mieli rację, bo nie kto inny, tylko ci właśnie, 13 i 14 letni skauci pomagali Peowiakom, czyli tajnej organizacji wojskowej. A ta organizacja nic dobrego rosyjskim władzom nie życzyła i związana była ze strzelcami Piłsudskiego z Krakowa.

Skoro tylko pierwsze strzały wielkiej wojny zagrzmiąły na ziemiach polskich, skauci ruszyli się gromadnie. Jedni przenosili tajne listy, pomagając w ten sposób Strzelcom, inni — przekradali się przez granicę austriacką i wstępowali do Legjonów. I nawet, gdy Piłsudski w roku 1914 odbył marsz woj-



BADEN POWELL

skowy na Kielce, to pierwszym żołnierzem, który wszedł do tego miasta, był harcerz Pomarański.

Gdziekolwiek wkraczały oddziały Legjonów, tam natychmiast otwierano biuro zaciągu wojskowego. Rzecz prosta, pierwsi ochotnicy, to byli zawsze skauci. Tak było w Kielcach, tak było w Radomiu, i w Łodzi, i w Lublinie.

Mali chłopcy w szarych mundurach legjonowych dawali życie za Ojczyznę na polach walk. A nawet i gorzej. Ci, których w czasie wojny wróg schwytał na gorącym uczynku z tajnymi listami lub odezwami — ginęli na szubienicy. Pierwszą taką ofiarą wojny był młodziutki skaucik z Warszawy, z oddziału Ciołkosza. Rosjanie powiesili go, uznając go za szpiega i nawet nie zatroszczyli się, aby zanotować jego nazwisko...

Wy, którzy macie jawne harcerstwo, którzy spokojnie chodźcie do polskiej szkoły, wyobraźcie sobie, jak strasznie było temu malcowi być wieszanym. I nawet sława po nim nie została — nie wiemy, jak się nazywał.

A gdy przyszedł wielki rok oswo-
bienia, rok 1918, harcerze z całej Pol-
ski utworzyli na zjeździe w Lublinie
jedną wielką organizację, Związek Har-
cerstwa Polskiego, który do dziś istnieje.
Tego pamiętnego roku harcerze wiele
mieli pracy. Rozbrajali Niemców i Au-
strjaków na ulicach miast. A przytem
i oni i Peowiaci niejedną musieli sto-
czyć walkę. Znow połała się krew mło-
dzików.

Łała się ona i we Lwowie, w zacie-
kłych walkach o to miasto. Tam w og-
niu bitwy padały z karabinem w rękę
dzieci 12-letnie i młodsze. Cały cmen-
tarz jeden we Lwowie nazywają cmen-
tarzem orłat. Jest to miejsce wiecznego
spoczynku tych właśnie małych bohate-
rów. Bardzo wielu z nich było harce-
rzami.

Najwięcej na polach bitew zasłużyło
się harcerstwo polskie w pamiętnym
1920 r. Gdy bolszewicy ruszyli na War-
szawę, setkami i tysiącami wstąpili har-
cerze do armji ochotniczej. Walczyli
wszędzie. I o Warszawę, i o Wilno,
i o Płock, i o Grodno. Niejeden dostał
krzyż za waleczność. A najmniejszy
wśród odznaczonych był 11-letni harce-
rzyk z Płocka, Tadzio Jeziorański. Sam

Wódz Naczelny przed frontem wojsk
przypiął mu na mundurku Krzyż Wa-
lecznych.

Ów Wódz, Józef Piłsudski, tak o har-
cerzach powiedział:

„Toteż, gdy huragan wojny świato-
wej deptać począł niwy polskie i przyjść
miało do dziejowego porachunku za lata
krzywd i niewoli, wyście w pierwszym
stanęli szeregu tych, którzy odważyli się
sięgnąć po zaszczytne miano żołnierzy
niepodległości. Łzami matek i ojców
żegnani, lub częściej bez ich wiedzy
i zezwolenia, rzucając dom rodzicielski,
szliście w szeregach polskich oddziałów
na trud wojenny, przerastający wielo-
kroć wasze siły, na rany i śmierć, na
górną radość zmierzenia się z wrogiem
w otwartem polu”.

Od tamtych krwawych dni dzieli nas
dziś piętnaście lat pokoju. W ciągu tego
czasu Związek Harcerstwa Polskiego,
mający taką piękną przeszłość, rozrastał
się i ciągle jeszcze rośnie... Z garstki
kilkudziesięciu skautów lwowskich, któ-
rzy zaczynali ten ruch przed wojną, wy-
rosła dziś wielka gromada: sto sześć-
dziesiąt tysięcy harcerzy i harcerek.

J. C.

15 LAT TEMU

Była to pamiętna jesień roku 1920.
Nasi rówieśnicy-harcerze poszli na praw-
dziwą wojnę, odbywali prawdziwe mar-
sze i narażali życie w podchodach do
nieprzyjacielskich okopów. To już nie
była zabawa w walkę dwóch harcerskich
obozów, ale trud ciężki i zmaganie ludzi
dorosłych w obronie Ojczyzny... A i my,
dziewczeta, robiłyśmy co mogły dla na-
szych żołnierzy, walczących na froncie.

Maszyny do szycia terkotały bez-
ustanku.

Pod oknami nad stosem białego płó-
tna pochylały się główki dziewcząt. Igły
połyskiwały w rękach, snując długą nit-
kę poprzez twardą, śliską tkaninę.

— Druhno Janko,—skarżył się płacz-

liwy głos, — druhno Janko, nie umiem
skroić koszuli!

— Druhno, proszę do mnie, coś się
popsuło w pięcie.

Janka uspakajała dziewczęta, przesuwając ostrożnie pod igłą maszyny wy-
kańczany kołnierz.

— Zaraz, zaraz, tylko poprawię ro-
botę Krysi.

I za chwilę już pod błyszczącym
ostrzem nożyc rozdarło się z suchym sze-
lestem płótno, przybierając kształt po-
żądany.

Od sąsiedniego stołu dźwięcznie
dzwoniły druty na rozpoczętych skarpet-
kach.

A tymczasem do sali weszła nowa



gromada dziewczynek, dźwigając ciężki kosz, pełen rumianych bochenków chleba i mnóstwo paczek. Na wolnym stole rozłożono zapasy pieczywa, wędlin i czekolady. Dziewczęta szybko i zręcznie dzieliły produkty: chleb, krążek kielbasy, blok czekolady. Jedna owijała paczkę w gruby papier, druga obwiązywała ją mocnym szpagatem, trzecia wypisywała adresy.

Janka spostrzegła nagle na uboczu jakąś paczkę.

— Co to jest, Zosiu? — zdziwiła się, — czy to zapasy do szpitala?

Zosia chwyciła się za głowę:

— Och nie! to musztarda. W ostatnim liście jeden z żołnierzy pisał, że im brak ostrych przypraw.

— Ale tu jest tylko jeden wielki słoć musztardy, — powiedziała Janka, — nie możemy go podzielić.

Zośka zdecydowała niefrasobliwie:

— No, to pošlemy temu, który prosił.

Za chwilę na paczce, większej od innych, Zosia wypisała krzywemi literami: „Józef Grzechnik, starszy żołnierz 21 pułku piechoty”.

— Gotowe, druhno Janko!

Długimi szeregami leżały paczki, oczekując wysyłki na front, ale praco-

wity dzień jeszcze się nie kończył. Trzeba było jeszcze zanieść prowianty do szpitala dla rannych.

Znów pojawiły się na stole bochenki chleba. Zazgrzytały noże w zetknięciu z chrupką, przypieczoną skórką. Szeleścił papier, odwijany z masła, szynki i sera. Po godzinie kosz, wysłany białą serwetą, był pełen równo pokrajanych kromek.

— Kto ma dziś dyżur? — spytała Janka.

Od stołów zerwało się kilka harcerek:

— My, druhno!

Janka odebrała od nich roboty. Wszystko było już wykończzone.

Obliczyła gotowe sztuki bielizny — cały plon tygodniowych trudów. Powoli narastał stos koszul, skarpetek, nauszników. Najmłodsze harcerki przyniosły wielki worek szarpi¹⁾.

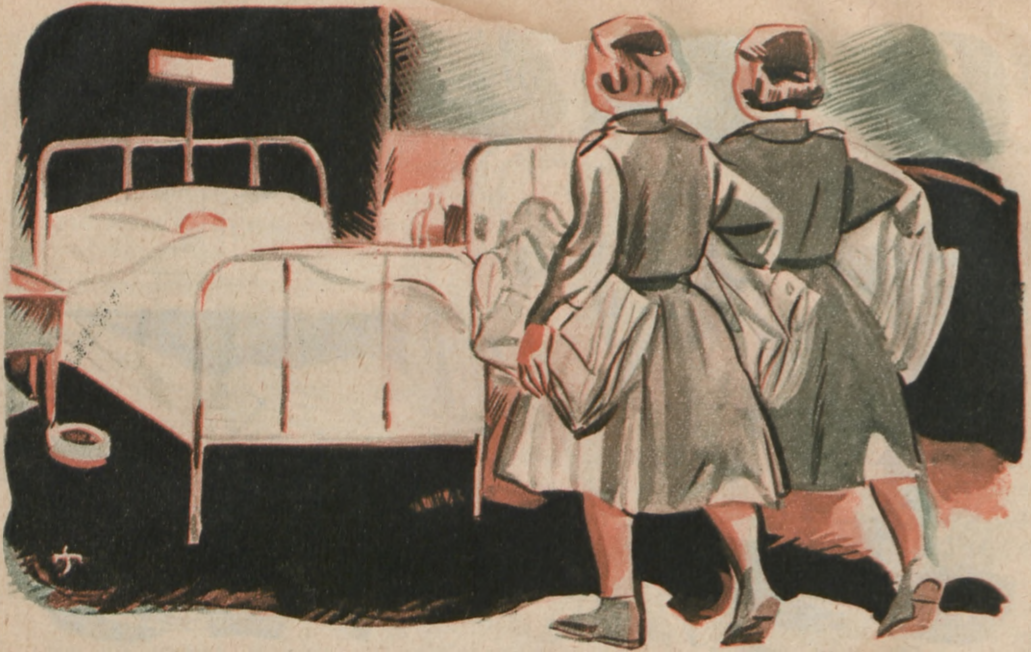
— A więc w drogę.

Stefcia i Krysia uniosły ciężki kosz. Pozostałe dziewczynki wołały za nimi:

— Pozdrówcie od nas Kazika!

— Zapytajcie Mroczkowskiego, czy chce nową książkę?

¹⁾ Wskubane nitki z płótna, które służyły podczas wojny do opatrywania ran.



— Krysiu, nie zapomnij o „nowym”, prosił o cukierki miętowe!

Zaledwie Stefcia i Krysia przestąpiły próg sali szpitalnej, głowy leżących żołnierzy zwróciły się w ich kierunku.

— Witajcie, drухenki! — wołał któryś ze zdrowszych, inni uśmiechali się serdecznie do dziewczynek.

Pod kierunkiem sanitariuszek harcerki rozdawały rannym podwieczorek, niektórzy mogli już jeść wszystko, inni otrzymywali tylko pomarańczę lub cukierki.

— Druhno Stefciu! — wołał żałośnie młody chłopak z drugiego końca sali, — ja nie dostałem nic słodkiego.

Siwy sierżant Mroczkowski prosił:

Przynieście mi nową książkę do czytania. Ale żeby było o podróżach! Dziewczynki obiecywały, pocieszały. Przy łóżku Kazika, ochotnika-harcerza, oczekiwała je niespodzianka.

— Wiecie, doktor wyjął mi kulę! — oznajmił triumfalnie.

Kazik miał kulę pod zębem i spoczątku wydawało się, że będzie musiał chodzić z nią przez całe życie, toteż dziewczynki ucieszyły się ogromnie.

Daj mi ją na pamiątkę! — popro-

siła Krysia, ale Kazikowi szkoda było rozstawać się z kulą.

— Poczekaj, jak dostanę drugą, to ci dam. Tę muszę zawieźć matce.

— Och nie, Kaziku! już wolę wcale nie dostać, nie chcę, abyś drugi raz był ranny, — krzyknęła z przestrachem Krysia, — a zresztą nim wyzdrowiejesz, wojna się skończy.

Sprawdziły się słowa Krysi. Wkrótce rozniosła się wiadomość o zawieszeniu broni.

W przeddzień rozejmu przyszedł list z frontu od Józefa Grzechnika. Janka głośno odczytała go drużynie:

— „Kochane drухenki! — pisał starszy żołnierz — dziękuję wam serdecznie w imieniu całego bataljonu za zapasy żywności. Bardzo nam się tutaj przydają. Ale najlepiej to się nam udała musztarda. Przez cały tydzień ciągle ją jedliśmy i wszyscy żołnierze i oficerowie z całego pułku schodzili się do nas na ten poczęstunek. Ale potem przestali chodzić, bo się pochorowali. Podobno od tej musztardy, ja myślę jednakże, że to prędej od kapuśniaku z kotła. Tylko już nam więcej nie przysyłajcie, bo chyba przez rok nie będziemy mogli na musztardę patrzeć, tak się nam przejadła”...

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem. Historia przesyłki długo bawiła całą drużynę, ale Zosia nie przejmowała się tem wcale:

— Ojoj! wielka rzecz, — mówiła w kilka tygodni później, — był u mnie

ten Grzechnik, przejeżdżał przez Warszawę, wracał do swojej wsi, bo go już zwolnili, i mogę was zapewnić, że po tej musztardzie doskonale wygląda. Posłużyła mu!

Wanda Grodzieńska

JAK SZÓSTKA ŁAMIGŁOWÓW ODKRYŁA SKARB

Ledwo gromada zuchów przyjechała do Lenny, ledwo każda szóstka urządziła się w swojej sypialni w budynku szkolnym — a już Stasiek, szóstkowy, zaczął tajemniczym głosem opowiadać swoim chłopcom:

— Wiecie, chłopaki, w tym lesie na górze — to niewiadomo co jest.

— Uhu... — zgodzili się wszyscy.

— Ale my zbadamy las, no nie? Jak Druh pytać będzie, jaką sprawność kto chce zdobywać, to trzeba, żeby cała nasza szóstka zgłosiła się na łamigłówek. Ja już o łamigłównach wszystko wiem, bo mi opowiadali ci chłopcy, co zeszedł roku byli na kolonji. Taki łamigłowa, to jest niby detektyw. Własną głową musi wszystko wytropić, wywiedzieć się, wymyśleć. Więc jak zostaniemy

łamigłownikami — będziemy myszkować w lesie i może tam co wytropimy — jaką kryjówkę zbójczą, albo co innego.

Druh zgodził się, aby szóstka Staśka bawiła się w Łamigłówek i nawet obiecał dopomóc w ułożeniu odpowiednich ćwiczeń i zabaw.

Wreszcie któregoś piątku Druh powiedział szóstce Staśka, przywoławszy ją raniutko do swego pokoju:

— Coś tu ludzie opowiadają, że w głębi lasu jest jakiś skarb ukryty. Może chcecie, łamigłowni, spróbować szukania?

Czy chcą szukać? Co za pytanie niedowcipne! Marzą przecież o tem od pierwszego dnia kolonji!

— Zaraz po śniadaniu możecie wyruszyć. Dojdźcie do źródelka, a stam-



tąd maszerujecie w górę strumyka, prawnym brzegiem. Uważajcie tylko na różne ślady i znaki. Zostawiajcie też po sobie strzałki z gałązek lub kamieni, abyście umieli trafić spowrotem. Na obiad najdalej musicie wrócić.

Ruszyli. Stasiek ze swym przyjacielem Józkiem na przedzie — reszta za nimi. Przez plecy mieli przewieszone łuki, za pas zatknięte proce. Jak się idzie do lasu — trzeba być na wszystko przygotowanym, a broń nigdy nie zawadzi!

Póki szli przez znajomą część lasu — nic się nie wydarzało. Ale ledwo minęli źródło, za którym zaczynał się nieznany brzeg nieznanego strumyka — od razu zrobiło się jakoś dziwnie.

— Chłopaki — szepnął Józek — tu nawet ptaki nie śpiewają!

— Ale zato poziomek i borówek pełniutko!

Jakże można wyminąć poziomki? Zatrzymali się więc i jedli. Zaciekawieni jednak przygodą po krótkim czasie ruszyli wzdłuż potoku.

— Józek, a to co?

Chłopcy stanęli jak wryci i aż otworzyli usta, wpatrując się w ziemię. Na ścieżce widniał wyraźny ślad stopy, bo grunt tu trochę rozmiękł. O, tam drugi, jeszcze wyraźniejszy, trzeci... Jest i dalej pełno śladów tych samych stóp. Chłopcy puścili się pędem, choć stromość zbcza wcale nie ułatwiała drogi. Tylko Franek, pełen rozwagi, zoczył w myśl wskazówek Druha drogę powrotną strzałkami. Schylił się właśnie po patyk, z którego miało być ostrze strzały. Wtem — co to? Na patyku tkwiła karteczka. Franka coś tknęło: kto-by tu w lesie zatykał na patyku kartki? Rozłożył, obejrzał z prawej, z lewej strony — nic nie widać. — Aha, — pomyślał — a może to pisane „sympatycznym” atramentem? Oni takie listy raz z Druhem na zbiórce pisali.

— Hej, chłopaki! — wrzasnął za migającymi w górze zuchami — mam coś!

Wymachując kartką drapał się, nie patrząc na osypywanie się kamieni i ślizganie stóp po dość wilgotnej trawie.

Zdyszany dopadł szóstki i oddał kartkę Staśkowi.

— Ale to pewnie „sympatycznym” atramentem pisane, bo nic nie widać.

— Chłopaki, macie zapaliki? Janek, rozpalaj mały ogieniek — zakomenderował szóstkowy.

Z zapartym oddechem, nachyleni głowa przy głowie patrzyli chłopcy w małą karteczkę, na której pod wpływem ognia zaczęły rysować się drobne literki.

„Na prawo od dróżki, przy wielkim dębnie stań twarzą na południe, zrób 20 kroków w tym kierunku, natrafisz na stary pień drzewa, obejrzyj go, tam dalsze wskazówki”.

— Zaczyna się! Więc naprawdę wpadli na trop jakiejś tajemnicy?

Stasiek ustawił wszystkich gęsiego i licząc powoli a dokładnie kroki posuwali się ku wielkiemu dębowi.

Tu Stasiek zatrzymał gromadę i tylko sam z Józkiem odliczył 20 kroków na południe. I rzeczywiście natknęli się obaj na stary pień. Obeszli go raz, drugi.

— Mam — stłumionym głosem krzyknął Józek. Coś mu stanęło w gardle z przejścia i nie mógł wydobyć głosu.

— Chodźcie tu wszyscy!

Taka sama kartka, jak poprzednia, tylko na niej coś narysowane. Co to być może? Jakieś kółko, od tego kółka linijka, coś przy niej narysowane małymi strzałkami. Znow kółeczko, ale mniejsze, trzy wyraźne, duże, niestandardne kropki i krzyżyk.

Każdy tłumaczył, jak rozumiał; może to plan jakiś, a może jakiś tajemniczy alfabet? Wkońcu wszyscy się zgodzili na jedno, że ten krzyżyk to musi oznaczać coś najważniejszego, bo na nim kończy się tajemny list.

— Czekajcie, — odezwał się Franek, — mnie się zdaje, że już coś wiem. To kółko, to może też jakieś znaczne drzewo. Może to też dąb, bo już raz w liście było o dębnie? Ale gdzie go tu szukać?

Wszyscy obejrzeni się wkoło. Między drzewami widniał słaby ślad wydeptanej dróżynki. Może tędy?



— Jest — szepnął pierwszy Józek — tam na prawo wielkie, stare dębisko.

Od dębu dróżka zbaczała między małe świerczki. Zgadzało się to ze strzałkami w liście. Znow mniejszy dąb (mniejsze kółko w liście) i trzy rzędem rosnące brzoźki. Ale gdzież ten krzyżek? Co to ma znaczyć? Tu leży tylko jakiś kamień. Antek kopnął go ze zniecierpliwienia, zawadził nogą i — bęc!

„Stłukłem kolano o ten wstrętny kamień”, myślał, podnosząc się zły okropnie. Spojrzał jeszcze raz z nienawiścią na kamień — i oniemiał: spod głazu wystawał kawałek lufy żelaznej.

— Chodźcie tu zaraz, odwalajcie kamień!

Chłopcy podparli głaz ramionami, krzyknęli: — ho...op! — i kamień osunął się po lekkiej pochyłości o kilka stóp. W zagłębieniu leżał w drewnianym, otwartym pudełeczku — rewolwer. Prawdziwy, nowy straszak, korkowiec.

Stasiek prędko poskoczył. Schwycił pierwszy, podniósł straszak w górę, położył palec na cynglu i naraz jak nie huknie po lesie! Przestraszyli się chłopcy, odskoczyli na boki. Huk strzału korkowca był wspaniały! Chłopców opuściła powaga i tajemniczość uleciała ze strzałem. Komu będzie się należała

zdobycz? Antkowi? Ale on sam nie odwaliłby kamienia! Więc co? Komu? Staškowi? Nie weźmie! Przecież to nie on znalazł. Takby każdy chciał mieć tę cudną broń!

— Chłopaki, kto z nas najlepiej strzela?

— Pawełek!!! — krzyknęli wszyscy zgodnie. — Ale go tu niema, bo chory, został w domu, coś na anginę podobno zachorował.

— A może mu zanieść skarb? Nie mógł iść na wyprawę i pewnie długo jeszcze poleży w łóżku. A do tego w „banku” kolonijnym nie ma Pawełek ani grosika, bo rodzice jego też nie mają. Samby sobie nigdy straszaka nie kupił!

Chłopcy spojrzeli po sobie i każdy już wiedział, że piękny straszak bez żalu oddadzą choremu Pawełkowi.

— Zadał nam Druh trudu, bo zadał! — zauważył Stasiek. — Ale za to było przyjemnie i Pawełek się ucieszył!

— Kiedy Druh schował ten straszak? — zastanawiał się Franek.

— Pewnie wczoraj wieczorem — a może w nocy, kto wie?

Radośnie wracali do kolonji.

J. i A. Kamińscy

NASZE RADIO

Po wakacyjnej przerwie wraca do Was Płomyk, a razem z nim i „Nasze Radjo”. Żebyście wszyscy wiedzieli, że Radjo się cieszy, że znów będzie mogło pogwarzyć ze swoimi młodymi słuchaczami, na pierwszą audycję szkolną, która się odbędzie *we wtorek, 3.IX, od godz. 12 m. 15 do godz. 12 min. 35*, dajemy wesołe słuchowisko pod tytułem: „*Witajcie dzieci*”. Posłyszycie tam swego dobrego znajomego, Wujaszka Radjowego, p. Henryka Ładosza. Więc napewno audycja będzie wesoła i ciekawa.

We środę, 4.IX, Rozgłośnia Lwowska od godz. 16 do godz. 16 min. 20 nadaje *Zagadki Muzyczne*.

W piątek, 6.IX, w czasie audycji szkolnej *od godz. 12 min. 15 do 12 m. 40* dowiecie się ciekawych rzeczy ze Zlotu Harcerstwa w Spale, któremu także jest poświęcona większa część dzisiejszego numeru „Płomyka”. W audycji będą brać udział harcerze, uczestnicy Zlotu. Posłyszycie więc harcerskie piosenki, zabawy, tak, że będzie się Wam wydawać, że sami bierzecie udział w Zlocie.

W piątek od godz. 16 min. 45 do 17 będzie pogadanka przyrodnicza. Pan Dr. Feliks Burdecki, p. Janina Orłowska-Wernerowa i p. Stanisław Sumiński opowiedzą Wam, jak wygląda „*Wrzesień na niebie i ziemi*”.

W sobotę, 7.IX, od godz. 18 do 18 min. 30 nadaje Rozgłośnia Poznańska słuchowisko pióra p. Tadeusza Markowskiego pod tytułem: „*Bieg na 1000 metrów*”. Jest to piękna historia o przyjaźni, o tem, jak ważną rzeczą jest przyjaźń, i czego może dokonać. Dowiecie się tam, i zobaczycie na przykładzie, że jest ona ważniejsza, niż wyczyn sportowy i że nawet w najzajadlejszym zawodnictwie nie można o niej zapominać.

W poniedziałek, 9.IX, od godz. 18 min. 30 do 18 min. 40, listy od dzieci omówi Wasza dobra przyjaciółka, Mamusia Radjowa, p. Wanda Tatarkiewicz.

Macie więc czego słuchać przez cały tydzień — są pogadanki, słuchowiska, rzeczy poważniejsze i rzeczy wesołe.



ROZDZIAŁ I

w którym buduje się namiot na Wygwizdowie.

W obozie panował gorączkowy ruch.

Rozstawiano duże, wojskowe na-

mioty, kopano doły, urządzano kuchnie i rozpalano ogniska, a kilku harcerzy stało już na warcie.



Od czasu do czasu od strony morza pociągał lekki wiatr i pędził dymy ognisk w nosy i oczy nieszczęśliwych kucharzy, że musieli kichać i wycierać łzy.

Wśród piekielnego hałasu dudniącego w całym obozie, jeden tylko chłopiec milczał zawzięcie i obrabiał siekierką grubego drążek. Za chwilę stanął przed nim różowy grubasek i założywszy styłu ręce przyglądał mu się uważnie. Tamten nie podniósł głowy.

Trwało to dłuższą chwilę, aż wreszcie grubasek nie wytrzymał:

— Co to robicie? — zapytał, pokazując brodą na drążek.

Tamten spojrzał na niego spod daszka czapki.

— Obrabiam drążek — odpowiedział krótko i znów wziął się do roboty.

Grubasek zamilkł i oglądał uważnie siedzącego.

— Oho, ćwik! — mruknął dojrząwszy złotą lilję na krzyżu. Po chwili jednak znowu zapytał:

— A na co ten drążek?

— Na maszt.

— Na maszt? — zdziwił się grubasek.

— Tak.

Grubasek przykucnął naprzeciwko pracującego i namyślał się nad czymś pracowicie. Potem wyjął z lewej kieszeni koszuli tabliczkę czekolady i wyciągnął do ćwika:

— Może spróbujecie?

— Nie jadam słodczy — mruknął tamten, nie przestając obciosować drążka. Po chwili jednak podniósł głowę i dodał. — To będzie maszt do sztandaru.

— Do sztandaru! A...

W tej chwili przerwano grubaskowi. Tuż koło nich krzyczał ktoś z całego gardła:

— Druhowie, obywatele, rodacy, krewni i znajomi! Potrzebne natychmiast dwa płótna namiotowe. Mogą być razem z harcerzami. Śpieszyć się, bo zamykam listę. Zakłada się osobny namiot na trzy osoby, ze wszelkimi wygodami. Niesłychane ulgi

dla lokatorów: za wodociąg i gaz nic się nie płaci. Co tydzień dodatek ilustrowany. Ustępstwo dla niemowląt i starców! Kto da więcej?

Na kamieniu stał chudy chłopak i machał uroczyście płótnem.

Ćwik wstał z ziemi i trzymając drążek w jednej, a siekierę w drugiej ręce podszedł do wołającego:

— A macie pozwolenie komentanta? — spytał.

— Pozwolenie jest! Podpisane, osteplowane, z pieczęciami i markami, a jakże...

— To ja idę — powiedział ćwik.

— Bardzo mi przyjemnie! — chudy chłopak zeskoczył z kamienia i podszedł bliżej. — Możecie mnie nazywać Szybki Jeleń, albo poprostu Julek, a wam jak na imię?

— Mieczysław.

— Aha. Tylko nie wiem czy można do was mówić „druhu Mietku”, bo jak widzę, jesteście w stopniu ćwika, a moja mizerna osoba ma zaledwie stopień wywiadowcy, wobec tego...

— Mówcie mi po imieniu — powiedział Mietek.

W tej chwili podszedł do nich i grubasek:

— Ja też chciałbym... Mam płótno...

— Ooo! — zawołał Julek. — Nie zgadzam się. Szanowny druh zajmie conajmniej dwa miejsca w namiocie!

— Ale wy za to połowę — odciął się grubasek.

— Niech-że i tak będzie! — westchnął Julek. — A jakież jest imię szanownego druha? Może Różowa Foka?

— Wacław mam na imię — obraził się trochę grubasek.

— Piękne imię. Był nawet jakiś święty tego imienia, ale pewno chudszy...

Mietek oddał komuś drążek i zbierał w milczeniu swoje rzeczy. Potem spytał Julka:

— Czy miejsce jest wyznaczone?

— Naturalnie! Oczywiście! Rzecz prosta! Samo przez się rozumie się!

— Gdzie?

— Tam, pod tą sosenką, trochę na boku od wielkich namiotów. Miejsce — wymarzone. Poprostu królewska rezydencja. Kąpiel morska. Dwa kroki...

Za chwilę wszyscy trzej zabrali się do budowy. Mietek pracował w milczeniu, Wacek sapał, a Julek coraz dogadywał:

— Czy wy zawsze tak milczycie, druhu Mietku?

— Najczęściej.

— To z was dopiero mruk! Powinniście się nazywać Mruczysław, a nie Mieczysław.

Wacek prychnął śmiechem, co mu nie wyszło na dobre, bo Julek jego teraz zaczepił:

— A z was to nie Wacek, tylko prawdziwy wałek!

Wacek chciał się odciąć, ale nie mu nie przychodziło do głowy, więc tylko się nadał.

— Ale jak wy kołki zabijacie! — powiedział naraz Mietek — to wszystko poleci.

— O, prawda! — zawstydził się Julek i zaczął poprawiać.

Namiot był już prawie gotowy, kiedy z najbliższego dużego namiotu



zamieszkałego przez „radomiaków” wyjrzało kilka głów:

— Hej, druhowie! Wiatr was stamtąd zdmuchnie do morza.

— A na was zawali się wasza „kamienica” — odpowiedział zaraz Julek.

— E, o to niema strachu! Jeszcze będziecie nas prosić, żebyśmy was przyjęli, jak na waszym Wygwizdowie zmarzniecie.

Duży namiot roześmiał się chórem:

— Wygwizdów! Wygwizdów! Doskonale: książęta na Wygwizdowie z przyległościami!

I ta nazwa przylgnęła do małego namiotu. Mówiono:

— Dzisiaj wartę trzyma Wygwizdów.

— Czy ci z Wygwizdowa brali już obiad?

— Zawołajcie trójkę z Wygwizdowa... i tak dalej.

A trójka z Wygwizdowa ujęła się honorem. Naznosili sobie taką moc gałęzi, traw i słomy, że tonęli popro-

stu w tem posłaniu. Zwierzchu nakrywali się wszystkimi trzema kocami i nie mieli wcale zamiaru prosić o nocleg w którym z dużych namiotów.

Któregoś z następnych dni, zjadłszy obiad, leżała trójka w swoim Wygwizdowie, wystawiwszy głowy na dwór. Koło dużego namiotu „radomiaków” słychać było mały gwar, ale Wygwizdów trwał w niewzruszonej obojętności. Naraz doszło do ich uszu:

— Idź, biskopcie do Wygwizdowa, oni tam mają huk miejsca. Przyjmą cię z otwartymi płótnami.

Julek podniósł głowę, czując w powietrzu jakiś zamach na honor namiotu, ale do Wygwizdowa zbliżał się tylko dziewięcioletni biskop¹⁾.

— Czego pragniesz, biskopcie kremowy? — ziewnął Julek.

— Ja... proszę druha... — zająk-

¹⁾ Chłopiec z drużyny zuchów czyli wilcząt, w których są chłopcy za młodzi jeszcze do harcerstwa.

nał się biskopt. — Mnie pozwolili przyjechać do obozu... chociaż jestem dopiero w drużynie zuchów...

ale przyjechałem za późno, więc... niema miejsca.

C. d. n.

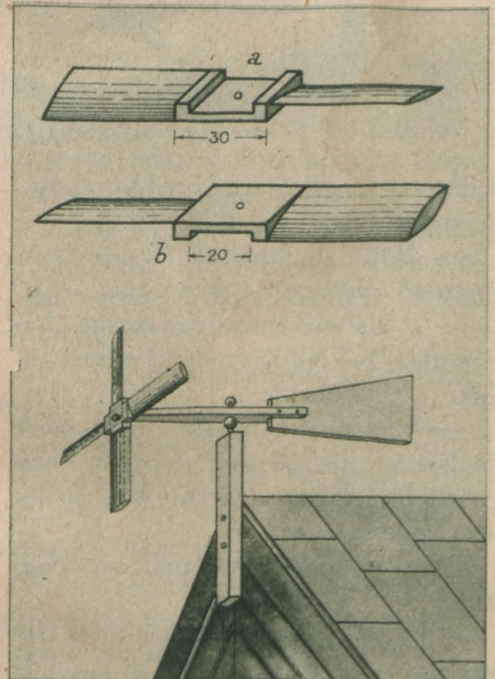
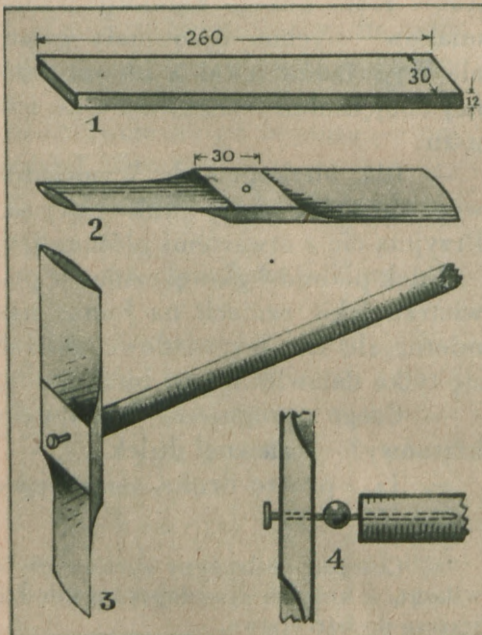
Jerzy Ostrowski



Chłopcy, mali konstruktorzy, chętnie wykonają ruchomy wiatrak, który im wskaże kierunek i siłę wiatru. Może to być, jak widać z rysunku, wiatrak jednośmigłowy.

Wykonanie: Z deseczki olchowej lub sosnowej (1) uformujemy śmigło (2). Skrzydełka śmigła muszą być cienkie, ukośnie ku sobie nachylone, po obu stronach ostre. Wygladzać szkłem. Na rys. 3 widać śmigło przytwierdzone do słupków. Dla zmniejszenia tarcia przy obrotach dodany jest koralik (4).

Jeżeli chcemy zrobić wiatraczek



dwuśmigłowy, należy przedewszystkiem dobrze zapoznać się z rysunkiem.

Po wykonaniu śmigieł zrobimy na nich nacięcia (a i b), połączymy je na nakładkę i osadzimy tak złączone śmigło na beleczce poziomej.

Na drugim końcu beleczki umocujemy skrzydełko z cienkiej klejonki. Całość osadzić na belce pionowej tak, aby wiatraczek mógł się obracać w kierunku wiatru.

Listy od redakcji

Kochani.

Radosne wakacje minęły.

Znów rozpoczyna się życie szkolne, a wraz z niem ważne obowiązki i prace społeczne.

Już czekają na Was spółdzielnie, sklepiki, biblioteki, ogródki, trzeba jeszcze „budować szkoły”, pamiętać o biednych dzieciach kresowych, a także o naszych rodakach zagranicą.

A zatem: do roboty!

Płomyk życzy Wam jaknajlepszego powodzenia w tej pracy i czeka na Wasze listy i sprawozdania.

Czy pamiętacie prośbę, zamieszczoną w ostatnim numerze pisemka? Kto z Was widział coś ciekawego w swojej albo nowej okolicy, kto podróżował po Polsce, robił wycieczki i zebrał ciekawe wiadomości z wakacyj, niech jaknajprędzej podzieli się nimi ze swoim przyjaciele — Płomykiem.

Odpowiedzi na listy napewno dostaniecie, jeśli podacie dokładny adres domu lub szkoły.

Bo jak pisać do takiego Jurka z Bydgoszczy, który nie wymienił swego nazwiska, nazwy ulicy i numeru domu?

Oprócz listów na kartkach pocztowych będą też drukowane w pisemku, tylko od przyszłego numeru „Płomyka” trochę inne, niż w zeszłym roku.

Jeżeli nowe liściki więcej będą się Wam podobały, nie zapomnijcie napisać o tem Płomykowi.

Do kl. VI w Białowieży.

Czy wycieczka do Zakopanego, na którą przeznaczycie dochód z przedstawienia, już się odbyła? Dziękujemy Wam za fotografię z pracy w ogródku szkolnym. O ile tylko będzie miejsce

i możliwość, umieścimy ją albo w Płomyku, albo w Gazecie Szkolnej.

Do Jagódki Jastrzębskiej w Grudziądzu.

Kochana Jagódko, książki nie pisze się i nie wydaje tak szybko, jakbyś chciała. Ale napewno wyjdzie jakiś utwór dla dzieci, opisujący życie Marszałka. Wtedy podamy Ci jego tytuł. A teraz co do drugiej sprawy — Płomyk i tak już jest dość duży, widocznie Ty za szybko czytasz. Na powiększenie go trzeba by i pieniędzy i pracy. Myślimy, że na razie wystarczy taki, jaki jest.

Do Eweliny Kraska w Żyrardowie.

Nie możemy drukować opisów wrażeń dzieci po zgonie Marszałka — otrzymujemy ich tak dużo, że zapełniłyby cały rocznik Płomyka. Śmierci Marszałka poświęcone były dwa numery Płomyka i jeszcze nieraz będziemy o Nim pisać.

Do Jerzyka Ostaszewskiego w Warszawie.

Cieszymy się, że tak lubisz czytać. W tym roku w „Płomyku” będziesz miał równocześnie dwie powieści — tą drukowaną w odcinku będziesz mógł powiększyć swoją biblioteczkę. Naturalnie, że czytamy wszystkie listy, które do nas przychodzą — nietylko czytamy, ale na wszystkie odpisujemy — albo w „Płomyku”, albo wysyłamy odpowiedź pocztą, bo wszystko nie zmieściłoby się w numerze.

Marjan Targosz, uczeń 7 klasy szkoły powszechnej w Szczakowie, pragnie nawiązać korespondencję z rówieśnikiem — filatelistą. Zbieracze znaczków pocztowych, napiszcie do Marjana. Adres: Szczakowa, Na Piasku, woj. Kra-kowskie.

Przy wieś?

Najnowsze łodzie podwodne mogą pokonywać odległości 30000 km, i to w przeciągu 3 miesiące, bez zawijania do portu, nie uzupełniając wcale zapasu materiałów popędowych. Te łodzie mogą zanurzać się do głębokości 112 m i przebywać tam w warunkach normalnych 3 dni. Jeżeli zajdzie konieczność, mogą zatrzymać się pod wodą nawet przez cały miesiąc.

W komunikacji powietrznej zaczęto używać pociągów lotniczych. Do zwykłego aeroplanu doczepia się szybowce i ten je holuje. Niedawno taki pociąg odbył podróż z Warszawy do Finlandji.

W wykopaliskach w Mezopotamji znaleziono zachowaną w doskonałym stanie dyktę. Wiek jej wynosi około 1600 lat. Zbadano chemicznie klej, jakim spawano poszczególne warstewki drzewa, aby ulepszyć dzisiejszą fabrykację tego materiału.

Podkłady poprzeczne pod szyny kolejowe wykonywane są zwykle z drzewa, ale są także w użyciu żelazne i żelazobetonowe, a nawet robiono próby ze szkłem.

Kauczuk otrzymuje się z soku kilku gatunków drzew, rosnących w okolicach przyrównikowych. Z naciętych drzew kauczukowych wypływa biała ciecz, podobna do mleka, która zbiera się w przyrównikowych specjalnie naczyniach. Zebrany sok przesącza się przez drobniutkie sita lub odwirowuje, poczem w specjalnych skrzyniach przy pomocy odczynników chemicznych powoduje się skrzepnięcie zawartego w nim kauczuku. Wydzielający się z cieczy kauczuk wybiera się, przemywa, wyciska się z nie-

go przy pomocy szklanych wałków wodę, rozwałcowuje na maszynach i suszy.

Guma czyli kauczuk wulkanizowany jest połączeniem surowego kauczuku z siarką, dokonaniem w niskiej temperaturze i z małą ilością siarki. W razie przyłączenia dużej ilości siarki przy większem ogrzaniu, powstaje czarna, mało elastyczna, rogowata substancja, zwana ebonitem.

Stal nierdzewiejąca uzyskuje swą cenną właściwość przez dodanie chromu względnie chromu i niklu do stopu zwykłej stali, odpowiednio przygotowanego w piecach elektrycznych.

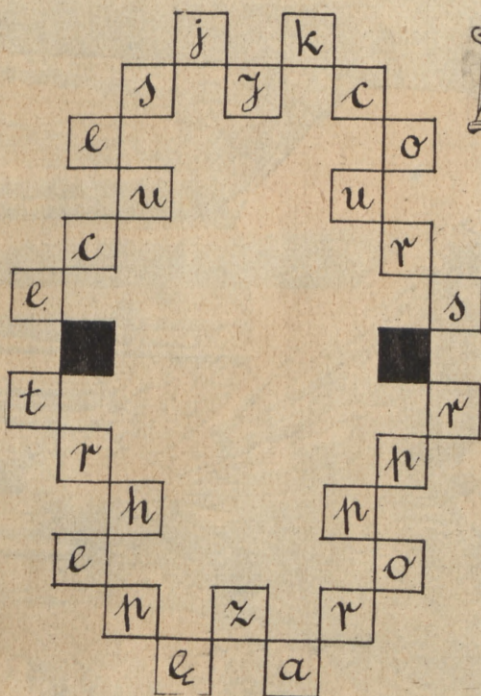
Dzieje ziemi zbadano na tysiąc milionów lat wstecz od naszych czasów. Obszar Polski przez większą część tego czasu był morzem. Sześć razy wynurzał się jako ląd i sześć razy zalewało go morze spowrotem. Miał klimat gorący i wilgotny, jak dziś pod zwrotnikami, i zimny, jak teraz pod biegunem. Pokrywały go bujne lasy, a kiedyindziej olbrzymie lodowce. Była olbrzymia pustynia, rozciągająca się gdzieś od Azji hen, w dzisiejszy ocean Atlantycki. Falowały nad naszą ziemią trawy stepowe, to znów morskie wody.

Pierwotną ojczyzną koni była Ameryka. Z biegiem czasu w ojczyźnie swej wyginęły konie doszczętnie. Natomiast końskie emigracje, które kiedyś przewędrowały na inne kontynenty, napotkały na dobre warunki i świetnie się rozwinęły. Dzięki człowiekowi powróciły do swej praojczyzny i bardzo się rozmnożyły. Obecnie jest ich znów coraz mniej, bo stepy zajęto pod uprawę, a oswojonego konia zastępuje auto i traktor.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

LAMIGŁÓWKA

REBUS



SZARADA

Pierwszą chcesz odczytać?
Weź od druha „ha”.
Druga — to pół żyta
(dwie litery ma).
Trzecia — to z dwóch liter
przyimek. A *całość*
to w gromadzie żytej
harczerzy niemało.

ZAGADKA 1.

Jedna lampa się zapala,
kiedy druga gaśnie.
Srebrna lampa świeci zdala,
złota lampa świeci zdala,
złota świeci jaśniej.

ZAGADKA 2.

Mam sieć, jak się patrzy:
tysiąc nitki nakrzyż.
Siedzę w środku sieci,
czekam, co mi wleci.

ZAGADKA 3.

Jak wiewiórka — ruda,
a jak kamień — chuda.
W każdej ścianie stoi,
ognia się nie boi.

Odczytajmy jedno z praw harcerskich.

W tym celu wyszukajmy z kratek początkową literę zdania. I licząc od następnej do pięciu, dopisujemy literę z każdej piątej kratki. Całość utworzy nam zdanie — jedno z praw harcerskich.

Liczyć należy sąsiednie kratki w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż):	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK. Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

ZŁOTU HARCERZY W SPALIE

